

## Niemcy

lp.	okres	czasokres	miejsowość/trasa	„sponsor”/towarzystwo/ uwagi	cel podróży
1	67/VII-VIII	14 dni	Kolonia--Essen-Mainz-Frankfurt/M.-Hamburg	Agpol /Kolonia – Mainz : statkiem na Renie	wizyty w agencjach reklamowych
2	68/V	10 dni	Kolonia -Bad Godesberg - Hamburg-Berlin Zach.	Agpol	j.w.cześciowo z Jolą Zygmanowską
3	71/XII	7 dni	Kolonia - Frankfurt/M.	Polexpo	przygotowanie MT Frankfurt/M
4	72/XII	4 dni	Hannover	Polexpo	przygotowanie MT.Hannover
5	73/V	14 dni	Hannover – Hamburg (Wedel)	Polexpo	MT Hannover
6	73/IX	14 dni	Lipsk	Polexpo	MT Lipsk - Jesień
7	74/II	14 dni	Frankfurt/M-Kolonia	Polexpo	Międzyn.Targi Frankfurckie
8	74/IX	14 dni	Lipsk	Polexpo	MT Lipsk – Jesień
9	79/III	10 dni	Lipsk - Drezno	Ambasada Kanady	MT Lipsk – Wiosna
10	79/III	3 dni	Berlin Wsch.	Ambasada Kanady	spr. służbowe ambasady
11	80/III	14 dni	Lipsk	Ambasada Kanady	MT Lipsk – Wiosna
12	89/V	14 dni	Monachium-Stuttgart-Pfedelbach-Schwäbisch Hall-Frankfurt/M-Kolonia-Brühl – Bonn- Berlin	„Wodpol” z Jarkiem Sławutą, Szewiorem	spr. służbowe
13	89/III	7 dni	Marl/k.Dortmundu – Remscheid – Frankfurt/M	„Prefabrykat” z J.Szewiorem	j.w.
14	95/I	3 dni	Hamburg	„Darex” z Darkiem Wierciakiem i Józkiem Cyganem	j.w.
15	96/II	3 dni	Monachium – Frankfurt/M.	j.w.	j.w.
16	97/III	3 dni	Brema	j.w.	j.w.
17	98/III	1 dzień	Frankfurt/M	Biuro Tłumaczy/Opel	j.w.
18	03/II	2 dni	Frankfurt/M	z p. Janem Zającem	MT Targi Książki

Niemcy, to w moim przypadku temat rzeka. Aż strach się w tej rzece zanurzać. Zbyt wiele razy tam byłem. Nawet nie gwarantuję, że powyższe zestawienie jest prawidłowe. Wydaje mi się, że w RFN w latach 60-tych byłem przynajmniej raz więcej, ale trudno mi to odtworzyć. Także za ilość dni pobytu w czasie poszczególnych podróży nie dałbym głowy. Podane ilości dni tylko z grubsza są pewne, bo podróż służbowa w latach 60-70-tych trwała z zasady ok. dwóch tygodni. Przede wszystkim jednak pewne fakty dzisiaj już mi się mylą i nie mogę gwarantować, że miały miejsce w czasie danego wyjazdu, a nie innego. Pewne tematy poruszyłem już w innych wspomnieniach, np. wieczór spędzony w Hamburgu w Sankt Pauli z p. Baumeister'em (przenieś to wspomnienie do niniejszego), czy sprawę obsady naszej placówki dyplomatycznej w Kolonii w roku chyba 1968 człowiekiem z Animexu i znanym mi z Wietnamu kapusiem (we wspomnieniach z Indochin).

Jak zwykle wspomnienia moje nie będą miały charakteru przewodnika turystycznego, a raczej będą dotyczyły pewnych zdarzeń i wrażeń, które pomimo upływu lat pozostały mi w pamięci.

Wspomnienia moje będą z chronologią raczej na bakier, bo w wielu przypadkach już nie pamiętam, co działo się wcześniej, a co później.

Do Niemiec Zachodnich przez długi czas nie miałem szczęścia. Studiując germanistykę na Uniwersytecie Poznańskim (im. A. Mickiewicza) utrzymywaliśmy kontakt z niemieckimi polonistami. Kiedyś odwiedziła nas ich grupa i potem mieliśmy w ramach rewanżu odwiedzić ich w Berlinie Wsch. W owych czasach jednak nie istniał jeszcze mur berliński (od 1961 r.!) i mieszkańcy Berlina Wsch. oraz turyści mogli swobodnie przechodzić na stronę zachodnią. Wielu tą drogą wybierało wolność i kto wie, jakby to się skończyło dla b. NRD, gdyby nie zbudowano muru!? Niemcy ze wschodu, ale także Polacy uciekali do strefy zachodniej wręcz masowo! W związku z tym w przypadku polskich wycieczek do NRD dokonywana była przez odpowiednie służby selekcja, kogo wypuścić do NRD, a kogo zatrzymać. Mnie niestety uznano za „niebłagonadiożnego” i nie dostałem paszportu. Z grupy naszych germanistów wybrała w Berlinie Zach. wolność studentka, zdeklarowana Niemka oraz Polak – syn I. Sekretarza PZPR z jakiejś podłódzkiej miejscowości! Ja nie pojechałem, choć nie planowałem ucieczki. Później jeździłem do Czech, na Węgry, do krajów skandynawskich, do Chin, Indochin, Francji, a do Niemiec – nie. Zaczęło się dopiero w roku 1967 i potem już często, aż do przesady.

## **Kolonia**

Kolonia była moim ulubionym miastem tak ze względów czysto turystycznych, jak i ze względu na ilość moich w niej pobytów (5 x). W latach 60-tych RFN nie była uznawana przez Polskę i Polska nie dysponowała tam ambasadą (na zasadzie wzajemności). Kraj nasz reprezentowany tam był tylko przez Biuro Rady Handlowego, zaś polski radca handlowy miał tam de facto status ambasadora. W każdym razie była to w owych czasach jedna z najważniejszych polskich placówek dyplomatycznych na świecie, zaś Radca Handlowy w RFN miał chyba wyższą znaczeniem rangę niż jakikolwiek polski ambasador. Placówka obsadzana więc była ludźmi nieprzypadkowymi, choć w praktyce różnie to bywało.

W latach 1963-66 w charakterze sekretarki Rady Handlowego zatrudniona tam (najpierw we Frankfurcie/M. a potem w Kolonii) była moja Mama. Przez całe swoje życie zawodowe była korespondentką w językach obcych w różnych przedsiębiorstwach parających się handlem zagranicznym. Ostatnim takim przedsiębiorstwem była centrala handlu zagranicznego SKÓRIMPEX w Łodzi. Jej atutem była doskonała znajomość niemieckiego w mowie i piśmie, w tym niemieckiej stenografii, a także to, że po rozwodzie z moim ojcem była osobą już starszą i samotną, a to w przypadku sekretarki była duża zaleta: ze względu na wiek nie była narażona na werbowanie jej np. drogą „amorów” ze strony niemieckiego wywiadu, a jako osoba samotna nie narażała Państwa na dodatkowe koszty związane z pobytem za granicą zbędnego balastu w postaci rodziny. Kwalifikacje mojej Mamy musiały być rzeczywiście wysokie, jeśli uwzględnić, że nie należała do żadnej partii, co w owych czasach, w przypadku pracowników polskich placówek dyplomatycznych, było warunkiem sine qua non. Co innego w przypadku pracowników – mężczyzn. Ich pobyt na placówce wiązał się z zasady z kosztem utrzymywania całej ich rodziny. Panie często wykonywały na placówce różne prace fizyczne, często pracowały jako sprzątaczkі, choć czasami zdarzało się, że panie o wyższych kwalifikacjach pracowały także w administracji placówki.

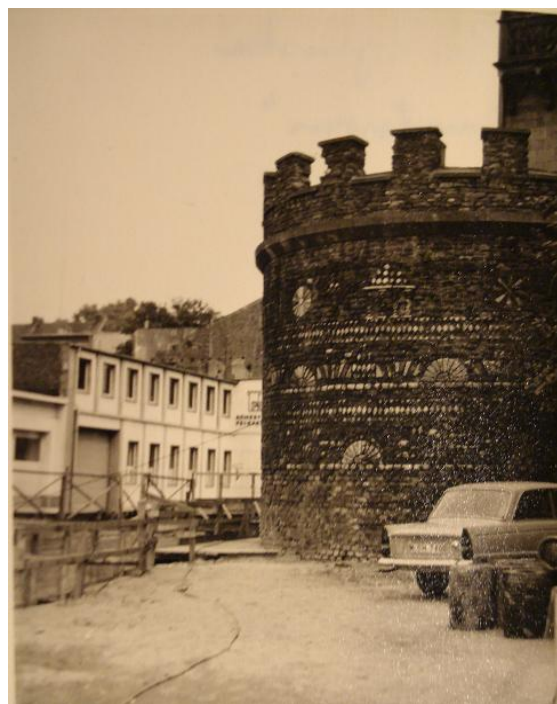
Obowiązywała w owych czasach zasada, że każdy delegat polskiego przedsiębiorstwa miał obowiązek zgłosić się w tej jedynej w owych czasach polskiej placówce dyplomatycznej w Niemczech, a z braku natłoku delegatów w BRH wnioskować można, że w owych czasach takich wyjazdów służbowych do RFN było niewiele. Obowiązek ten wiązał się dla Państwa ze znacznym kosztem, no bo każdy handlowiec, bez względu na to, gdzie załatwiał swoje sprawy w Hamburgu, Monachium, we Frankfurcie/M itp, musiał jechać do Kolonii w celu złożenia tam kopii swojej delegacji służbowej i przedyskutowania swojego zadania z odpowiednim "branżowym" pracownikiem placówki dyplomatycznej.

Po zachorowaniu na poważną chorobę, Mama w 1966 r. wyjechała do kraju na leczenie, ale jeszcze przez rok stało do dyspozycji jej służbowe mieszkanie na Hohenstaufenring, z którego w roku 1967, będąc w Kolonii na delegacji służbowej, korzystałem.

Kolonia zrobiła na mnie wrażenie dokonaną z pietyzmem odbudową starego miasta. Nam Polakom wydawało się, że to tylko my z pietyzmem odbudowaliśmy Warszawę, Wrocław, Gdańsk. Poznań itp, a tu okazało się, że także Niemcy odbudowali w starym stylu zabytkowe dzielnice swoich miast: Kolonii, a potem mogłem się przekonać, że także Frankfurtu/M, Hamburga, Bremy i innych. Początkowo spotykało się jeszcze w Kolonii duże nieodbudowane połacie miasta, po latach jednak zniknęły one. W każdym razie stare miasto odbudowano wspaniale, podobnie słynną katedrę, dworzec i zabytki jeszcze z czasów rzymskich.



Kościół Apostołów i katedra



Baszta rzymska

W czasach, gdy jeździłem do Kolonii z ramienia Agencji Reklamy Handlu Zagranicznego „AGPOL”, gdzie pracowałem w charakterze kierownika działu, moimi niemieckimi partnerami była agencja reklamowa w Kolonii, WESTAG. Mile wspominam prezesa i współnika firmy, p. Hawel'a. W owych czasach nie istniały w Polsce spółki. Wszystkie przedsiębiorstwa były państwowe i kierowali nimi dyrektor naczelny oraz pomniejsi dyrektorzy. Struktura spółki była dla mnie czymś zupełnie nowym. Gdy p.Hawel przedstawił mi się jako „prezydent” spółki, zapytałem go, czy to znaczy, że jest dyrektorem spółki. Na to on skromnie: no nie, ja jestem jakby dyrektorem dyrektorów. Teoretycznie miał rację, choć spółka była tak mała, że każdy musiałby tam być dyrektorem samego siebie. P.Hawel lubił imponować np. tym, że (podobno) jest właścicielem małej wyspy na Morzu Śródziemnym. Jedno jest pewne: zawdzięczam mu niejedno przyjemne przeżycie, przede wszystkim nocne. Po raz pierwszy byłem zaproszony do klubu z tańcami erotycznymi (w Polsce w owych czasach nie do pomyślenia!).

Bardzo mile także wspominam zaproszenie w czasie wspólnej podróży z p. Jolą Zygmantowską, chyba w roku 1968, na dinner (kolację) w pięknie na zboczu góry położonej włoskiej restauracji w Bad Godesberg (nieдалеко hali, gdzie odbywały się hitlerowskie zjazdy), na południe od Kolonii. Widok z tarasu restauracji otwierał się na Ren i leżący po jego drugiej stronie stary zamek. Kolacja była na prawdę wykwintna, m.in. z dużym zestawem frutti di mare, zaś na odchodne, gdy ubieraliśmy się w szatni, p. Hawel zwrócił naszą uwagę na gablotę z różnymi alkoholycznosciami. Zapytał, czy znamy wystawiony tam „wspaniały włoski likier” „Sambucco”? Oczywiście nie znaleźliśmy. Postanowił więc uszczęśliwić nas po butelce tego sławnego Sambucco. Wiozłem potem ten likier pieczołowicie do Warszawy, żeby zaimponować mojej żonie, a gdy w końcu odkorkowałem butelkę okazało się, że to niezwykle słodki likier anyżowy. Dla nas nie do picia. Długo stał w moim barku, zanim nie znieśli go po jednym kieliszku moi kolejni goście, którym ten likier reklamowałem podobnie, jak p. Hawel mnie. Działo się to przed 40 laty, ale nazwy „Sambucco”, chyba jako ostrzeżenia nigdy nie zapomnę. Kiedy indziej zaproszony zostałem przez pracownika f-my WESTAG na lunch (obiad) w restauracyjce nad Renem. Jadłem wówczas po raz pierwszy ślimaki winniczki. Duża, a raczej apetyczna sprawa, no i cały z tym związany ceremoniał (!) Aż dziw bierze, że w Polsce ślimaki są tak mało popularne.

Zszedłem Kolonię wzdłuż i wszerz, zwiedziłem oczywiście Katedrę i miejskie muzeum historyczne. Wrażenie zrobił na mnie pomnik ku czci ofiar wojny: na placu przed kościołem klęcząca naturalnej wielkości postać kobiety i mężczyzny. Tylko tyle.

Największa przygoda przydarzyła mi się w Kolonii w dniach 23 i 24 lutego roku 1974, gdy znalazłem się tam z wizytą w BRH z okazji kierowania przeze mnie polską ekspozycją na Międzynarodowych Targach Frankfurckich. Były to akurat poniedziałek i wtorek zapustny, gdy w Kolonii (a także w wielu miastach Europy i świata) odbywały się doroczne pochody karnawałowe. Przeżycie niepowtarzalne! Taki pochód trwa kilka godzin. Posuwa się jedną z głównych ulic obstawionej na całej swej długości z obydwu stron tłumami. Ludzie także we wszystkich oknach. Tłumy te są jakoś przebrane: niektórzy w bardziej wymyślne stroje, inni choćby tylko z wymalowanymi a'la kłown twarzami. Każdy jednak czuje się zobowiązany do noszenia jakiegoś specjalnego rozrywkowego akcentu. Pochód tworzą zespoły z różnych organizacji i zakładów pracy. Idą więc orkiestry w strojach 18-wiecznego wojska (w ogóle przeważają mundury z czasów Starego Fryca (króla Fryderyka II), podobnie umundurowane, kolorowe kawalkady konne, cheer-leaderki, platformy samochodowe prezentujące różne sceny, m.in. polityczne, np. kukłę Breżniewa z gołą pupą, którą to całuje rytmicznie kołysząca się kukła ówczesnego kanclerza Schmidta. Na ulicy muzyka dęta, zgiełk, ludzie wrzeszczący: „Kamele, Kamele” (karmelki, karmelki), no i ci z pochodu rzucają w jedną i drugą stronę te upragnione cukierki, a nawet czekolady, zaś wyglądający z okien opuszczają w dół otwarte parasole, żeby im także coś się dostało.



Pochód karnawałowy w Kolonii

krajów Europy Wschodniej, m.in. z Polski, Rosji, Ukrainy....

Pochód w Kolonii jest największym w Niemczech. Bardzo bym chciał przeżyć to jeszcze raz. A Kolonia przecież nie leży zbyt daleko. Ot, po prostu: pojechać i przeżyć to, bo warto! Wyobrażam sobie, jak wyglądać musi taki pochód w Rio de Janeiro i nie dziwię się, że ludzie płacą ciężkie pieniądze za miejsce w tłumie obserwatorów. Ja to miałem za darmo! W Kolonii znalazłem się po raz ostatni w maju 1989 r. w czasie wyjazdu służbowego do Niemiec z ramienia f-my „Wodpol” samochodem. Zatrzymaliśmy się tam tylko po to, bym mógł centrum Kolonii pokazać swoim kolegom. Wartym odnotowania jest jednak krótki pobyt z noclegiem w domu dla uchodźców w miejscowości **Brühl** na południe od Kolonii. W stojącej w odosobnieniu kamienicy mieszkali sami uchodźcy z różnych



Z moimi towarzyszami podróży służbowej samochodem, Jarkiem Sławutą, Jurkiem Szewiorem i jeszcze trzeciej osoby, której nazwiska nie pamiętam, odwiedziliśmy tam znajomych któregoś z nich z Katowic. Wszystko co mieli, dostali od władz niemieckich za darmo, a pomimo to nie chciałbym być w ich skórze. W czasie tej podróży „zaliczyliśmy” także ówczesną stolicę Niemiec, **Bonn**. Zwiedziliśmy centrum tego miasta o zupełnie prowincjonalnym charakterze, w jednej z restauracji zjedliśmy obiad i ruszyliśmy do Kolonii.

Jadąc dzisiaj polskimi szosami, szczególnie miejskimi odcinkami autostrad na Górnym Śląsku, gdzie zamieszkane odcinki odgradzone są od jezdni dźwiękochłonnymi osłonami, nieraz myślę, że pod niektórymi względami opóźnieni jesteśmy w stosunku do Niemiec przynajmniej o jakieś 20 lat. U nich to wszystko w roku 1989 już od dawna istniało !

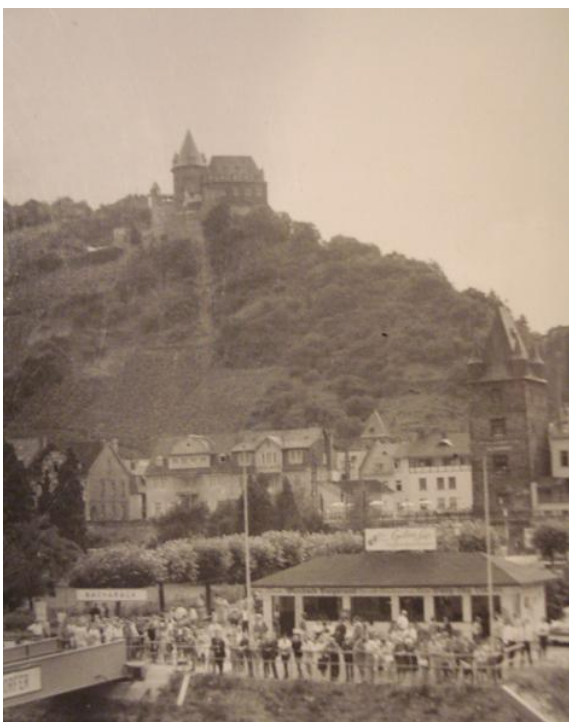
### **Podróż statkiem po Renie: z Kolonii do Mainz'u (Moguncji)**

Trasę Kolonia – Moguncja (lub odwrotnie) przejechałem trzykrotnie: raz pociągiem, raz samochodem i tylko raz statkiem ! Ze względu na związane z tym wrażenia i wspomnienia liczy się tylko ten pierwszy przejazd - właśnie statkiem. Było to latem 1967 r, konkretnie 24 lipca. – w niedzielę. Po załatwieniu spraw służbowych w Kolonii miałem w planie wizytę w poniedziałek u agenta Animexu, p.Karpika, właściciela f-my Donau-Handel, we Frankfurcie/Menam. Postanowiłem podróż z Kolonii do Moguncji odbyć statkiem w górę Renu i z Moguncji kontynuować ją do Frankfurtu koleją.

Bez problemu kupiłem bilet i mój pasażerski statek wycieczkowym odcumował z przystani w Kolonii o 8 rano. Podróż do Moguncji trwała dokładnie 12 godzin. W Moguncji zacumowaliśmy o 20tej, zaś we Frankfurcie znalazłem się przed północą.

Podróż Renem to niewątpliwie coś, co liczy się w skali życia !

Niepowtarzalne są widoki na leżące po obydwu stronach Renu wzgórza pokryte tarasami winnic, na liczne zameczyska i ruiny zamków, na miejscowości nadreńskie i znane obiekty na samym Renie. A więc po kolei mijaliśmy **Bonn** z leżącym nad samym Renem budynkiem ówczesnego parlamentu, **Bad Godesberg**, **Remagen** – miejscowości, gdzie Amerykanom udało się zdobyć most na Renie i przyczółek na jego prawym brzegu, **Koblencję** z ujściem do Renu rzeki Mozeli, wyspę **Pfalz** pod **Kaub** ze stojącym na niej charakterystycznym zameczkiem, wreszcie słynną skałę **Loreley**, stojący na wzgórzu słynny pomnik Germanii w Rüdeshaim, wreszcie przepływa się pod Wiesbaden (wówczas duża baza amerykańska ) i dopływa do **Moguncji**.



Jeden z licznych nadreńskich zamków



Na statku z amerykańskim profesorem prawa

Pogoda była piękna. Cały dzień spędziłem na pokładzie chłonąc widoki, bo liczyłem się z tym, że być może odbywam tę podróż po raz pierwszy i ostatni w życiu, rozmawiając z innymi uczestnikami wycieczki i wykonując liczne zdjęcia. M.in. prowadziłem dyskusję z jakimś amerykańskim (podobno) profesorem na temat trwającej w Wietnamie wojny. Ponieważ niedawno (w maju 1965 r) stamtąd wróciłem, miałem na temat tej wojny swój pogląd, m.in. taki, że amerykańskie siły zbrojne nie walczą z agresorami na ich kraj, a żołnierze amerykańscy oddają życie za nie swoją sprawę. Pamiętam, że pana profesora bardzo oburzyła ta opinia. Ciekaw jestem, czy po amerykańskiej rejeradzie z Wietnamu, gdzie na darmo straciło życie ponad 50.000 amerykańskich żołnierzy i po zanoszącej się rejeradzie z Iraku, gdzie też już zginęło kilka tysięcy żołnierzy amerykańskich, podtrzymałby ją dzisiaj ?

### Frankfurt/Menem

Piękne, bardzo przez wojnę doświadczone miasto, ale w roku 1967 było ono już prawie w całości odbudowane. Niedaleko dworca był duży, wielohektarowy, oczyszczony z gruzów plac – dzisiaj zabudowany wieżowcami znanych banków.

Byłem tam ogółem 8 razy. Przeważnie mieszkalem w tanich hotelikach albo w pensjonacie. W 1996 r. w czasie podróży służbowej z właścicielami f-my Darex, mieszkaliśmy w chyba najdroższym hotelu frankfurckim, „Frankfurter Hof”. Był to niezwykle wytworny hotel w starym stylu. Korytarze i pokoje obwieszane były wspaniałymi obrazami i starymi grafikami. Czuję się tam, jak w muzeum !

Stara część miasta, oczywiście w całości odbudowana, to słynny rynek przy Hauptwache oraz katedra i kompleks budynków z charakterystycznymi gotyckimi fasadami, „der Römer”.



Dom (środkowy) w którym urodził się Goethe

Nie byłem w stanie spać. Wstałem i od 4tej w nocy do 7 (!) wędrowałem pustymi ulicami miasteczka, aż zmogło mnie zmęczenie i na chwilę, przed odjazdem do Frankfurtu na tereny targowe, usnąłem. Byłem reakcją mojego organizmu przerażony. Rano, dzięki uprzejmości znajomych p. Zająca, zbadał mnie ich lekarz, ale niczego nadzwyczajnego nie wykrył. Na terenie targów, w czasie organizacji stoiska Pergamenu wydawało się, że wszystko już jest w normie, ale gdy zbliżył się wieczór, powrócił strach przed nocą i zdałem sobie sprawę, że nie usnę w tej mojej klitce. Poprosiłem p.Zająca o zezwolenie na mój powrót do kraju. P.Zajac, choć postawiony przeze mnie w trudnej sytuacji wykazał

W lutym 1974 r. kierowałem z ramienia Polexpo polską ekspozycją kilku central handlu zagranicznego na MT Frankfurt. Odwiedziło mnie wtenczas, jako Dyrektora Polskiej Ekspozycji wielu dziennikarzy. Co mnie zaskoczyło: przeważnie Żydów, z nazwiska lub wyglądu. Pomyślałem sobie wówczas, że Żydzi łatwiej przebaczą Niemcom niż my, Polacy. Że w gruncie rzeczy odpowiada im niemiecka mentalność, a może sprzyjające im niemieckie poczucie winy ? Faktem jest, że w roku 1968, w czasie rozprawy Gomułki z „syjonistami”, wielu „syjonistów”, przedstawicieli wolnych zawodów znalazło się nie w pobliżu Syjonu, a właśnie w Niemczech !

Ostatni raz byłem we Frankfurcie/M. w lutym roku 2003 na międzynarodowych targach książki jako tłumacz p.Jana Zająca ,właściciela katowickiej f-my Pergamena. Mieszkaliśmy w domu jego znajomych w miejscowości leżącej pod Frankfurtem. Mnie przydzielono maleńki pokój o wymiarach 2 x 2 m i wówczas ujawniła się drzemiąca we mnie od dawna klaustrofobia. Być może przyczyniło się też do tego moje niskie ciśnienie tętnicze. Miałem już dawniej niespodziewane ataki klaustrofobii, a to w samolocie do Egiptu, a to w windzie mojego hoteliku w Paryżu, ale na taką skalę, jak tym razem – nigdy !

rozumienie dla mojego stanu. Przeprosiłem go i wieczorem odjechałem autobusem do Katowic. Zastanawiam się, czy miałbym atak klaustrofobii, gdybym mieszkał w większym pokoju ?



w 1967 r jeszcze nie odbudowana opera frankfurcka

### **Essen**

To jedyne miasto Zagłębia Ruhry, które zwiedziłem. Byłem tam w roku 1967 z ramienia AGPOLu. Jechałem z Kolonii do Essen samochodem mijając słynną dolinę Neanderthal (człowiek neandertalski). Zwiedziłem wysokiej klasy specjalistyczną drukarnię pod kątem ew. wykonywania dla Agpolu druków reklamowych, bo druk w Polsce nie był w owych czasach na najwyższym poziomie. Pospacerowałem po centrum miasta i po zwiedzeniu drukarni, rozmowy handlowe prowadziłem z szefem drukarni w restauracji na wzgórzu na obrzeżu miasta, skąd widać było willę rodziny Krupp.

### **Hamburg**

W Hamburgu byłem czterokrotnie.

Piękne miasto położone w delcie Łaby, wokół dwóch wielkich jezior. Hamburg był w czasie ostatniej wojny straszliwie zniszczony. Już w czasie pierwszego tam pobytu nie widać było śladu zniszczeń. Szczególnie atrakcyjnie jest nad jeziorem w centrum miasta „Innen-Alster”: piękne promenady, budynki, restauracje nad jeziorem.

Bardzo utkwiała mi w pamięci podróż w roku 1968.

W maju odbyłem podróż służbową do Kolonii i Hamburga. Podróż z Kolonii do Hamburga rozpoczęła się pod złym znakiem już w Kolonii: nie zdążyłem na autobus na lotnisko Köln-Bonn i żeby zdążyć na samolot musiałem wynająć taksówkę, co znacznie obciążyło moje skromne środki ( diety). Na lotnisku, w czasie odprawy pomagałem jakiejś pani, biorąc na rękę jej niemowlę. W tym celu musiałem postawić na półce pod kontuarem odprawowym moją aktówkę, zawierającą wszystkie dokumenty służbowe i.....dosłownie wszystkie pieniądze przeznaczone na pobyt w Niemczech (600 DM, co w owym czasie stanowiło niską miesięczną pensję Niemca). Ponieważ ręce miałem zajęte dzieckiem, idąc do samolotu zupełnie nie zauważyłem braku aktówki. W Hamburgu z terminalu autobusu z lotniska miałem do hotelu bardzo blisko, a bagaż lekki, poszedłem więc do hotelu pieszo i dopiero w hotelu zorientowałem się, że nie mam aktówki i całej jej zawartości. Aż się spościłem z przerażenia. Konsekwencje mogły być bardzo dotkliwe: w Hamburgu byłem po raz drugi, nikogo tam nie znałem, do kontaktu z firmą, którą miałem odwiedzić, przywiązywałem dużą wagę i było by niezręcznie



zaczynać ten kontakt od pożyczki, nie mówiąc już, że te 600 DM musiałbym zwrócić z własnych środków i o blamażu w mojej macierzystej firmie !

Na szczęście w hotelu wykazano zrozumienie dla mojej sytuacji i przydzielono mi pokój, ja zaś natychmiast popędziłem do terminalu z interwencją.

Telefon obsługi terminalu na lotnisko w Kolonii-Bonn na szczęście sprawę natychmiast wyjaśnił: uczciwa osoba przekazała aktówkę obsłudze lotniska i tego samego dnia aktówka kolejnym samolotem trafiła do Hamburga i do moich rąk. Uff...jakię szczęście, że nie zdarzyło się to w Polsce !



St.Pauli - port

piłkarskiej z zaoszczędzonych pieniędzy otworzyło w sercu Hamburga piwiarnię. P. B. wszystkich ich znał, a oni jego, tak więc włócząc się po St.Pauli i okolicach (dzielnica rozrywek marynarskich), zaglądnęliśmy do przynajmniej 3 knajp, gdzie pana B. no i mnie, jako osobę mu towarzyszącą,

Następnego dnia, po rozmowach w firmie, którą wizytowałem, jej właściciel zaproponował mi zwiedzenie Hamburga w towarzystwie swego szefa działu, pana B. (imienia już nie pamiętam). P. B., pan w wieku ok. 60 lat, jak się okazało, samotny, chętnie przystał na propozycję swego szefa. Okazało się, że lepszego Cicerone nie mógłbym dostać. Hamburgczyk od dziecka, znał swoje miasto od podszewki. Poza tym przez wiele lat był działaczem czołowego hamburskiego klubu piłkarskiego. Dobrzy piłkarze, podobnie jak u nas dzisiaj, bardzo dobrze zarabiali, a ponieważ przeważnie byli to ludzie bez jakiegokolwiek zawodu, kilku z nich po zakończeniu kariery

radośnie witano i w każdej trzeba było wypić przynajmniej jedno duże piwo „mit Korn” (z kieliszkiem żytniówki). Będąc już na lekkim rauszu odwiedziliśmy oczywiście ulicę za drewnianym parawanem – słynną Herbertstraße, ulicę burdeli, ze skąpo ubranymi panienkami siedzącymi na wystawach, z którymi można było przez małe okienko porozmawiać. Pan B. czuł się tam, jak u siebie, radośnie zagadywał panienki, a one chętnie przeprowadzały z nim dłuższe rozmowy. Mnie jakoś nie zauważały. Starszy pan wydawał się im znacznie bardziej atrakcyjny !



Alster

Dygresja: choć analogicznych dzielnic rozrywkowych jest na świecie wiele, choćby w Amsterdamie, Paryżu, czy Brukseli, z taką zamkniętą za autentycznym parawanem – z policjantem wpuszczającym tylko mężczyzn, spotkałem się jeszcze tylko raz – w Stambule. Egzotykę tego miejsca powiększał fakt, że za parawanem znajdowały się dwie uliczki: w pierwszej widać było na wystawach zupełnie niczego sobie, ładne i zgrabne „panienki”, w drugiej – „panienki” albo przesadnie grube, albo chude, albo już



dosyć wiekowe i brzydkie. Na każdej wystawie wisiał szyld z ceną: 7-10 Lirasi (wówczas niecały dolar) w „lepszej” uliczce i 2,5 – 3 Lirasi w „gorszej”. Atmosferę tworzyły tam „panienki”, które nudząc się grały na tamburynie i tańczyły na wystawie taniec brzucha oraz panowie, których widać było w otwartych drzwiach siedzących jak dawniej u nas u fryzjera: czytających gazetę zakleszczoną w specjalnym drewnianym wieszaku i czekających na swoją kolej.

Wracam do Hamburga.

Już dosyć późnym wieczorem pan B. zabrał mnie do klubu nocnego „Kolibri”. Klub taki jest dzisiaj niczym nadzwyczajnym, jednak przed prawie 40 laty był w Polsce *n i e d o p o m y ś l e n i a !* Czysta rozpusta ! Strip tease za strip teas’em, frywolne piosenki i dowcipy starej, grubej baby prowadzącej konferansjerkę, potem life-sex (seks na żywo) który nie zrobił na mnie żadnego wrażenia, a na koniec okazało się, że baba prowadząca konferansjerkę to przebrany łysy, gruby chłop w peruce ! Horror ! Długo o tym klubie i tamtejszej atmosferze można by jeszcze pisać, ograniczę się jeszcze tylko do wspomnianego life-sex’u. Otóż młody mężczyzna – partner w life-sex’ie nawet ładnej kobietki - po wstępie, który miał go doprowadzić do „stanu użyteczności”, stanął dokumentując publiczności swoją „gotowość” i bez większych ceregieli przystąpił do „dzieła” w pozycji „na zwierzaka”, a więc oboje skierowani byli twarzami do publiczności i w czasie gdy ona wzdychała i jęczała, że niby jej tak dobrze, jej partner wykonywał tzw. śmieszne ruchy jednocześnie beznamiętnie rozglądając się po sali. Po „akcji” mężczyzna stanął i ponownie zademonstrował swoją „gotowość”. To jego beznamiętne rozglądanie się po sali, podczas gdy jego partnerka rzekomo bardzo to przeżywała, rozśmieszyło mnie. Pan B., dla którego pewnie nie była to pierwszozna, wyjaśnił mi o co chodziło: otóż mężczyzna biorący udział w life-sex’ie wykonuje pracę i nie może mieć żadnej z tego końcowej przyjemności (!). Stąd jego partnerka musiała się dobrze nagimnastykować, żeby doprowadzić go do stanu „użyteczności” on zaś musiał się maksymalnie koncentrować, potem jednak nie wolno mu było sobie pofolgować, musiał więc się dekoncentrować i stąd ten jego beznamiętny wyraz twarzy i rozglądanie się po sali !

Po spektaklu w „Kolibri” pan B. zaprosił mnie na piwo do tawerny na St. Pauli. Była już późna noc, oboje mieliśmy solidnie w czubie. W tawernie dwuosobowy zespół młodych „marynarzy” grał na harmonii i śpiewał niemieckie chanty. Było już pustawo i nastrojowo. Panu B. zebrało się na wspomnienia z dawnych dobrych czasów, gdy w początku lat 30-tych należał do S.A., a kiedy po „nocy długich noży” zorientował się, że S.A. podpadło nazistom, żeby uciec od polityki, szybko zapisał się na ochotnika do Wehrmacht’u. „Pociągany przeze mnie za język” opowiadał jak bardzo pociągało go lotnictwo i jak udało mu się zostać członkiem personelu latającego na bombowcach. W tym czasie ożenił się i był to dla niego okres bardzo szczęśliwy. Gdy wybuchła wojna, latał na swoim bombowcu nad Polską, potem nad Holandią (słynne bombardowanie Rotterdamu) i oczywiście nad Anglią. W czasie jednego z nalotów na Anglię, samolot ich został trafiony pociskiem, szybko więc zawrócili i wodowali na wodach Kanału La Manche. Uratowali się z samolotu i wkrótce wyłowili ich ponton niemiecka łódź podwodna. Bardzo to przeżył. W związku z tym nie wysyłano go już na akcje samolotowe, a przydzielono do naziemnej obsługi lotniska pod Leningradem (!). Był to dla niego ciężki okres tym bardziej, że w czasie urlopu dowiedział się, że został szczęśliwym tatusiem synka. Jakoś mu to nie pasowało. Liczył, liczył i absolutnie nie wychodziło na to, że on jest autentycznym tatą. Natomiast od życzliwych mu ludzi dowiedział się, że jego żona w czasie, gdy on przebywał na froncie, „pocieszała” się ze swoim brygadzystą w fabryce amunicji.

Dzielny p. B. poszedł na skargę do swojej partii, która sprawiła, że brygadzista żony wysłany został na front wschodni (postrach Niemców), skąd już nigdy nie wrócił i tak sprawiedliwości stało się zadość. P.B. z żoną się rozwiódł i od tego czasu prowadził żywo „wolnego strzelca” i stan ten bardzo sobie chwalił.

Z opowieści jego wynikało, że okres hitlerowski bardzo mu przypadł do serca. Nie mógł się nachwalić, w jakim wspaniałym stanie znajdowała się naonczas niemiecka gospodarka pomimo, że przecież prowadzono wojnę na wielu frontach i że krajem rządził rząd składający się z 12 ministrów, a obecnie (uwzględniając ministrów w tzw. Landach) podatnik niemiecki musi utrzymywać aż ponad 80 ministerstw, a wszystko tak czy tak nie trzyma się w kraju kupy.

Zrobiło mi się trochę głupio: ja, Polak wysłuchuję jakiegoś faszystę i jego peanów na rzecz czasów hitlerowskich (!), a ponieważ miałem już (on także) dobrze w czubie, wprost stwierdziłem: ależ Panie B. przecież Pan mówi jak jakiś Nazi ! A na to on: bo też jestem Nazi !

I co ja miałem zrobić: spędzam miły wieczór z jowialnym starszym panem, zresztą moim kontrahentem, a on mnie, Polakowi, mówi, że jest faszystą ! Co robić ? Ostentacyjnie odejść ? Żal mi się go zrobiło. Zdałem sobie sprawę, że czasy hitlerowskie to był najszczęśliwszy okres w jego życiu, gdy on, człowiek po szkole podstawowej, bez zawodu, coś znaczył, a i kraj początkowo odnosił zwycięstwa na wszystkich frontach, a że w końcu poniósł klęskę.....

Zareagowałem spokojnie: panie B., jak pan tak może mówić, przecież w tym Pana szczęśliwym okresie życia Niemcy odebrały życie milionom ludzi różnych narodowości, w tym także spowodowały, że w wyniku rozpętania przez nich wojny, zginęły także miliony Niemców. Czy nie słyszał pan o okrucieństwach Niemców, o obozach koncentracyjnych, gdzie zginęły miliony ludzi ? Na to on: quatsch (bzdura) ! No to zacząłem mu przypominać, że to nie jest polska czy komunistyczna propaganda, że to fakty potwierdzone przez Amerykanów i Anglików, którzy nakręcali filmy i robili zdjęcia w wyzwalanych obozach, itd., itp. Po dłuższym perswadowaniu mu, on: no, może niezupełnie jestem Nazi, ale panie Moch, jak widzę to, co się teraz u nas w Niemczech dzieje i porównam z tym rozwojem w czasie rządów Hitlera, to wszystko się we mnie aż „przewraca”. A dla nas Polaków ówczesny RFN to był przykład wspaniałego rozwoju !

Rozstaliśmy się w zgodzie. Ja zrozumiałem, że dla wielu okres hitlerowski to był okres ich młodości, okres, gdy coś się działo, okres, gdy ich ojczyzna triumfowała, gdy wiodło im się zupełnie dobrze pod rządami...12 ministrów. Trochę mi to przypomina wielu naszych rodaków, dla których okres „komuny” w Polsce to był ich najlepszy czas ! Gdy wprawdzie się biedowało, ale dzieliliśmy podobny los z całym (prawie) społeczeństwem, gdy tyle mieliśmy radości, gdy udało się kupić coś deficytowego, gdy nie było troski o pracę i jakoś się żyło. Przynajmniej byliśmy młodzi !

Drugą przygodę miałem w Hamburgu w czasie służbowego tam pobytu z ramienia f-my Darex. Z właścicielami firmy, p.p. Darkiem Wierciakiem i Józkiem Cyganem zamieszkaliśmy w hotelu, z którego do miasta trzeba było przejechać przez strefę wolnocłową. Hotel ten wybraliśmy, gdyż z planu miasta wynikało, że hotel leżał niedaleko siedziby naszych kontrahentów i nie zdawaliśmy sobie sprawy z konsekwencji mieszkania przy strefie wolnocłowej. Rano, w dzień po przylocie zamówiliśmy taksówkę, wpakowaliśmy do bagażnika torby z prezentami dla kontrahentów: drogimi alkoholami, no i pojechaliśmy. Taksówkę zatrzymano na punkcie kontroli celnej i zadano stereotypowe pytanie: co panowie przewozicie. No to my ucziwie: to i tamto. Na to padło pytanie, czy towary, które przewozimy zostały oclone na granicy, na lotnisku. My: nie, nikt nas nie pytał ani niczego nie sugerował. No to padło polecenie: proszę otworzyć bagażnik. Okazało się, że chcieliśmy przemycić (sic !) alkohole i że ilość alkoholi przekracza dopuszczalny limit z uwzględnieniem, że są nas trzy osoby. Tłumaczyłem Niemcom, jak umiałem, ale chyba się nudzili i postanowili trochę się nami zabawić. W dodatku odprawa trochę się przeciągała i taksówkarz zażądał zapłaty za kurs i odjechał zostawiając nas z bagażami na łasce celników. Wreszcie uzgodniliśmy z nimi, że zapłacimy ogółem 36 DM cła i wreszcie byliśmy wolni. Ta przygoda kosztowała nas wiele nerwów, ale też stanowiła nauczkę pod kątem przyszłych pobytów w Hamburgu. Podróż zakończyła się sukcesem naszej firmy. To najważniejsze.

W maju 1973 r. kierowałem polską ekspozycją na Międzynarodowych Targach w Hannoverze. Po targach postanowiłem odwiedzić mieszkających na północ od Hamburga, w leżącej nad Łabą dzielnicy Hamburga **Wedel** moich dobrych znajomych: znanego mi od lat z Warszawy Władka Potockiego i jego żonę, Renatę Marsch – znaną niemiecką dziennikarkę agencji DPA w Polsce. Niedawno urodził się im syn. Wydaje mi się, że sprawiłem im przyjemność moją wizytą. Dzisiaj Władek mieszka już „na drugim świecie”, Renata mieszka na stałe w Polsce, podobnie jak ich już dorosłe dzieci.

## **Brema**

W Bremie i **Bremerhaven** spędziłem trzy dni w marcu 1997 r. w ramach delegacji służbowej z właścicielami f-my DAREX, p.p. Wierciakiem i Cyganem.

Brema to nadspodziewanie śliczne miasto. Oczywiście po wojennej katastrofie prawie całe odbudowane. Wspaniały jest rynek miasta z pomnikiem Rolanda i pomnikiem „Muzykantów z Bremy” - bajki

braci Grimm, przedstawiającym bohaterów tej bajki: osła, na nim psa, na nim kota i na nim koguta. To urokliwa bajka, jak zresztą wszystkie, choć czasami trochę okrutne bajki braci Grimm.

Przy wejściu na jedną z ulic „hasa” stadko mosiężnych świnek. Różne takie figuralne sceny wiążące się z lokalnymi legendami lub historyjkami są bardzo popularne w niemieckich miastach. Prawie w każdym znaleźć można takie sympatyczne scenki w metalu.

Najbardziej mi się jednak podobało Stare Miasto z odtworzonymi średniowiecznymi, niezwykle wąskimi uliczkami i domami, a w nich sklepy z antykami, antykwariaty książkowe, restauracje i piwiarnie. Miasto warte zwiedzenia !



W porcie Bremerhaven z koleji zwiedzaliśmy tzw. bananowiec – statek specjalnie przystosowany do przewozu bananów, z klimatyzowanymi ładowniami, specjalnymi urządzeniami do ształowania kartonów z bananami itp. Przeciętny śmiertelnik w ogóle nie zdaje sobie sprawy z tego, jak wymagającym owocem jest banan, nie tylko w czasie transportu, ale już w dojrzewalni i magazynie. Banany mogą w krótkim czasie przynieść szybki zysk, ale też kolosalne straty !

W Bremerhaven z Darkiem Wierciakiem (z prawej) i Józkiem Cyganem (obok mnie)

raczej nie zdają sobie sprawy z tego, że Niemców nazywamy szwabami dlatego, że w średniowieczu kraina ta była przeludniona i biedna i właśnie stamtąd pochodziła największa imigracja Szwabów, a więc Niemców do ziem piastowskich: na Śląsk, do Krakowa i w inne rejony. Imigranci ci nie byli wtedy agresorami, wręcz przeciwnie: nasi piastowscy książęta i królowie chętnie ich widzieli na swoich ziemiach, bo wnosili oni postęp rolniczy i techniczny. Zakładali w Polsce miasteczka na tzw. prawie niemieckim i w XIII/XIV w. niektórych miastach zdobyli sobie bardzo silną pozycję, np. w Krakowie, który zaczęli uważać (i do tradycji tej chętnie wracali hitlerowcy) za miasto niemieckie ! Miał z nimi poważny problem nasz król Władysław Łokietek. Gdy opanował Kraków, w 1311 r. Niemcy krakowscy wszczęli przeciwko niemu bunt i zanim ten bunt opanował, musiał z Krakowa chyłkiem, spuszczając się na linie z muru Wawelu, uciekać !

W roku 1957, jesienią pracowałem przy unacześnianiu map wojskowych w rejonie Kotliny Kłodzkiej. Miałem „bumagę” z Urzędu Rady Ministrów zapewniającą mi prawo do bezpłatnych noclegów w każdej wsi i w każdym mieście, które musieli mi zapewniać lokalni wójtowie lub sołtysi. W jednej ze wsi przydzielono mi kwatery u jakichś pań, jak się okazało Niemek (! Jak one się tam uchowały ?). Panie te ledwo mówiły po polsku. Cały czas szwargotały w jakimś dla mnie zupełnie niezrozumiałym niemieckim dialekcie. A jakby nie było, pisałem pracę magisterską z niemieckiej dialektologii. No cóż, zróżnicowanie dialektyczne w Niemczech jest znacznie większe niż w Polsce i dawniej Niemcy z niektórych rejonów kraju nie byli w stanie zrozumieć Niemców z innych regionów. Na przykład różnica pomiędzy którymś z dialektów z Niemiec południowych, a Niemiec północnych jest znacznie większa, niż między jakimkolwiek językiem słowiańskim ! Oczywiście nie omieszkałem tych pań zapytać, w jakim języku ze sobą rozmawiałem. Stwierdziły, że to dialekt szwabski !

Byłem w Stuttgarcie tylko raz, z ramienia Wodpolu, z Jarkiem Sławutą i Juriem Szewiorem (nazwiska trzeciego towarzysza podróży już nie pamiętam). Raczej przejazdem. Niewiele z tego miasta pamiętam. Pamiętam natomiast wizytę w osiedlu pod Stuttgartem u krewnego, chyba ze strony Szewiora, Ślązaka,

## **Stuttgart**

Stolica Schwabii. Polacy



który pod koniec wojny uznał za bezpieczne uciec przed Rosjanami i Polakami. Czuł się bardziej Niemcem niż Polakiem i chyba miał swoje powody, żeby bać się naszych wyzwolicieli. Mieszkał i żył w Stuttgarcie godziwie w bloku jako niemiecki emeryt.

### **Pfedelbach**

Był to jeden z celów naszej podróży. To leżąca w Szwabii duża, bardzo zadbane wieś oraz duża, nowoczesna fabryka jednorazowych wyrobów papierowych pod marką HOSTI, które zamierzaliśmy importować i potem faktycznie przez pewien czas importowaliśmy. Podobało mi się, że we wsi, która wcale nie miała charakteru turystycznego, działał nowoczesny ośrodek kultury spełniający funkcję hotelu dla przyjezdnych, restauracji, hali widowiskowo- rozrywkowej i zebrań oraz w podziemiach – obiektów rozrykowo-sportowych (hala bilardowa, siłownia itp.). Nocowaliśmy tam i stołowaliśmy się i pamiętam, że dyskutowaliśmy, jak bardzo przydałyby się takie obiekty w dużych polskich wsiach.

### **Schwäbisch Hall**

To miasteczko powiatowe na wschód od Pfedelbach, pięknie położone w dolinie. Widziałem je z okien restauracji znajdującej się na zboczu wzgórza nad miasteczkiem, do której zaproszeni zostaliśmy przez Niemców na szparagi. Maj to Niemcech sezon szparagów, które w tym czasie serwowane są w tamtejszych restauracjach na różne sposoby.

### **Monachium**

W Monachium byłem dwukrotnie, w roku 1989 z w/w kolegami z WODPOLu oraz w roku 1994 – z p.p. Wierciakiem i Cyganem, właścicielami f-my DAREX. W pierwszym przypadku mieszkaliśmy w hoteliku na jednej z głównych ulic niedaleko dworca. Za drugim razem – w centrum miasta niedaleko owocowo-warzywnego centrum hurtowego, gdzie odwiedziliśmy znaną w Niemczech firmę Csadsky. Oczywiście zwiedziliśmy za każdym razem wszystko, co w Monachium godne widzenia (za wyjątkiem terenów poolimpijskich) i w czasie drugiego pobytu zaliczyliśmy wielką Bier-Halle – halę piwną niedaleko dworca, gdzie można było dobrze zjeść, popić piwo i posłuchać bawarskiej muzyki w wykonaniu panów w krótkich skórzanych spodenkach na skórzanych szelkach, którzy grali i jednocześnie klepali się wolnymi rękami po różnych częściach ciała.

Wracaliśmy do kraju przez południową Bawarię autostradą do Austrii (Wiednia) i stamtąd przez Brno do Polski. Niestety nigdy nie byłem na południowych krańcach Niemiec, nie widziałem zamków królów bawarskich na wyspie na jeziorze Chiemsee, ani Neuschwanstein, ani miejscowości nad Bodensee i w Tyrolu. Chciało by się jeszcze kiedyś „zaliczyć” te południowe rejony Niemiec, a także liczne śliczne stare miejscowości w różnych stronach Niemiec, które znam tylko z pocztówek, np Norymbergę. Niemcy mają wiele do zaoferowania spragnionym wrażeń turystom; może są trochę drogie, ale dziwi mnie, że niemiecka oferta turystyczna w Polsce praktycznie nie istnieje.

### **Marl/k. Dortmundu**

Załatwiając w Niemczech sprawy służbowe z ramienia f-my PREFABRYKAT, byłem w tym leżącym na zachód od Dortmundu miasteczku samochodem z p. Jurkiem Szewiorem. Odwiedziliśmy tam krewnych p. Szewiora – Niemców-Polaków ze Śląska ze starej górniczej emigracji do Niemiec. Podobnie jak liczni inni żyjący tam potomkowie polskiej emigracji zarobkowej żyli sobie bardzo przyzwoicie w domku-bliźniaku i właśnie przygotowywali się do uroczystego otwarcia sklepu. Wprawdzie górnictwo tam się skończyło, bo kopalnie pozamykano, ale biedy nie było widać. Miasteczko zadbane, ale nie zrobiło na mnie niczym szczególnego wrażenia.

### **Berlin**

Berlin Zachodni „zaliczyłem” po raz pierwszy w maju 1968 r. w drodze samolotem z Hamburga do Polski. Samolot lądował na lotnisku w Tempelhof. Połączenie lotnicze z Warszawą miałem dopiero z lotniska Schönefelde pod Berlinem Wschodnim. Sytuację tę wykorzystałem dla zwiedzenia centrum

Berlina Zach. głównie słynnej Ku-Damm (Kurfürstendamm). Wreszcie autobus zawiózł mnie z Berlina Zach. bezpośrednio na lotnisko Schönefelde.

W Berlinie Wschodnim znalazłem się przez okres trzech dni dopiero w marcu 1979 r – z ramienia Ambasady Kanady. Byliśmy tam kilkuosobową delegacją. Przylecieliśmy na lotnisko Schönefelde i autobusem zawieziono nas do hotelu. Po drodze przejeżdżaliśmy koło potężnego pomnika „Wdzięczności Armii Radzieckiej”. Mieszkaliśmy w typowym NRD-owskim hotelu niedaleko Bramy Brandenburskiej i w wolnych chwilach zwiedzałem centrum Berlina Wsch. No cóż, Stalinallee przypominała trochę naszą Marszałkowską przy Pl.Konstytucji, ale w ogóle to ładne miasto, choć dużo w nim było pustych przestrzeni, które podobno dzisiaj – gdy Berlin stał się stolicą całych Niemiec - zostały w maksymalnym stopniu wykorzystane. Ciekawe, czy poznałbym zwiedzane przeze mnie miejsca w dawnych wschodnim i zachodnim Berlinie ?

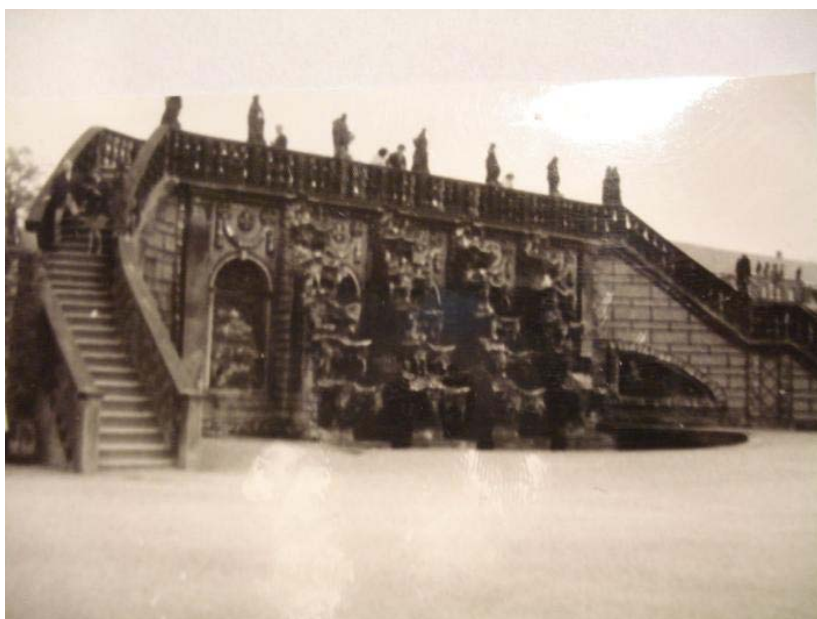
W Berlinie Zach. znalazłem się jeszcze raz w marcu 1989 r. w drodze powrotnej z podróży służbowej do RFN z ramienia f-my Wodpol. Berlin ciągle jeszcze był podzielony. Podróż odbywaliśmy samochodem i jadąc z RFN do Polski świadomie wybraliśmy trasę przez Berlin Zach. żeby to miasto trochę zwiedzić. Warto było ! Przede wszystkim przejeżdżaliśmy przez słynny przejazd graniczny pomiędzy NRD a Berlinem Zach. „Check point Charlie”.Ogromny punkt kontrolny, ale nas, Polaków przepuszczono bezproblemowo. „Zaliczyliśmy” wówczas centrum Berlina Zach. od Bramy Brandenburskiej poprzez kolumnę „Zwycięstwa”(Siegessäule) do Tiergarten oraz główne ulice miasta. Pamiętam, że bardzo nam smakowały Big-Mac’i w berlińskim McDonalds’ie (u nas ich jeszcze nie było! ).

## Hannover

Byłem w Hannoverze dwukrotnie z ramienia POLEXPO: kilka dni w grudniu 1972 – w ramach przygotowań do organizowanego przez mnie udziału Polski w Międzynarodowych Przemysłowych Targach Hannoverskich i dwa tygodnie w maju 1973 r – jako tzw. Dyrektor Polskiej Ekspozycji na tych targach. Najpierw mieszkalem w hotelu na przeciw dworca, a więc w sercu miasta, a drugi raz mieszkalem w kwaterze prywatnej.

Miasto oczywiście odbudowane po zniszczeniach wojennych, które dotknęły przede wszystkim Stare Miasto. Starannie odbudowano nawet mury miejskie. W grudniu trafiłem tradycyjny w każdym niemieckim mieście kiermasz przedświąteczny. Podobny kiermasz przeżyłem innym razem także we Frankfurcie/M. przed wówczas jeszcze nie odbudowaną operą. Wszystkie takie kiermasze są do siebie podobne i bardzo „niemieckie”. Przede wszystkim panuje na nich specyficzny zapach anyżu, bo sprzedaje się tam tradycyjne ciastka anyżowe. Na taki kiermasz chodzi się przede wszystkim dla jego atmosfery w Hannoverze na

Inną atrakcją Hannoveru jest zamek książęcy i otaczające go ogrody. Rodzina książąt hanowerskich jest blisko spokrewniona z brytyjską rodziną królewską ! W pobliżu stoi dom-muzeum prekursora komiksów, Wilhelma Busch’a. Oczywiście zwiedziłem, bo jako dziecko, wychowywany w środowisku polsko-niemieckim, przepadałem za rysunkowymi przygodami dwóch urwisów: Maxa i Moritza.



W parku przed zamkiem książęcym

Targi Hannowerskie to impreza na ogromną skalę !

Byłem już na dziesiątkach targów międzynarodowych, na wielu organizowałem indywidualne stoiska i wielkie narodowe (Polskie) ekspozycje i w gruncie rzeczy nie powinno mnie już nic dziwić. Ale zadziwiła mnie przysłowiowa niemiecka organizacja ich służb logistycznych. Sprawność tych służb wręcz imponowała. Targi te zasygnalizowały mi także powstające, na razie na Zachodzie, trendy, np. w zakresie wyposażenia prywatnych posiadłości . Widać było, że do Europy przenikają amerykańskie wzory społeczeństwa opływającego w dostatek, np. baseny ogrodowe: małe, średnie, duże, przenośne, o bardzo zróżnicowanym wyposażeniu. Pewnie lecąc dzisiaj nad Europą Zachodnią widać już liczne niebieskie plamki na ziemi tak, jak widziałem je w roku 1970 lecąc od północy nad dzielnicami mieszkalnymi Nowego Jorku. Na targach tych zetknąłem się po raz pierwszy jeszcze z wieloma innymi aspektami.

Po raz pierwszy w ramach tych targów zorganizowano międzynarodowe targi komputerowe, CEBIT. Gdy udałem się do hali CEBITu pierwszym moim wrażeniem było, że trafiłem tam w złym momencie – na jakieś przyjęcie. Wszyscy byli odświętnie ubrani, dyskretna muzyka, grupki osób z kieliszkami w rękach prowadziły rozmowy w ciągach pieszych pomiędzy stoiskami....Okazało się jednak, że w tym pawilonie to była :”normalka”.

Dygresja:

Był to okres, gdy w użycie zaczęły wchodzić PC-ty (komputery osobiste). Dzisiaj prawie wszystko jest skomputeryzowane i wymiary komputerów są coraz mniejsze. Wówczas PC-ty – po kilkuletnim etapie komputerów zajmujących całe pomieszczenia, gdzie dane zapisywane były na wielkich, większych od filmowych szpulach - to była absolutna rewelacja. Do Polski PC-ty trafiły na szerszą skalę chyba dopiero w połowie lat 80tych. W każdym razie ja zacząłem pracować na komputerze (PC-cie) dopiero w roku 1989 !Nie stosowaliśmy wówczas programu Windows, a polski program Braci Kajkowskich. W drugiej połowie lat 80-tych zaczął się niewiarygodny postęp w dziedzinie komputeryzacji i związanej z tym telekomunikacji. O stanie telefonii w Polsce pisałem we wspominkach z Kanady. To był horror. W służbowych kontaktach z zagranicą bazowało się na telexach, które zapewniały natychmiastową łączność, ale tylko pisemną. Teleksy były doskonałe, ale dochodziły już słuchy o doświadczeniach z przesyłaniem obrazów. Można było przypuszczać, że odpowiednie urządzenia do tego celu znajdą zastosowanie dopiero za wiele, wiele lat, a tu nagle, w początkach lat 90tych „wybuchły” telefaxy. Bardzo szybko się okazało, że połączenia telefoniczne z zagranicą można uzyskać natychmiast i po wprowadzeniu na masową skalę faksów, nagle cały ten skomplikowany sprzęt teleksowy trafił na złom i zastąpiony został małymi faksami. Znalazły się one w powszechnym użyciu już w połowie lat 90-tych. Zmiany w telekomunikacji następowały z roku na rok. Już z początkiem lat 90-tych ukazały się telefony przenośne – takie małe ciężkie walizeczki. Były one bardzo drogie. W dodatku za rozmowy z tych telefonów płacił tak wybierający numer, jak i odbierający telefon ! To były urządzenia tylko dla bogatych firm. Panowie z dumą nosili te swoje walizeczki. Ja także z takiego telefonu korzystałem i np. latem prowadziłem sprawy związane z importem owoców z domku wczasowego w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej. Żeby mieć zasięg, musiałem wchodzić na drzewo ! W połowie lat 90tych zaczęły u nas wchodzić w życie telefony, tzw. komórki. Początkowo jeszcze dosyć dużych rozmiarów, z roku na rok – coraz mniejsze i bardziej wszechstronne. Kto by w latach 80-tych pomyślał, że rozwój w tej dziedzinie będzie aż tak gwałtowny !W owym czasie, żeby dostać połączenie dla telefonu stacjonarnego trzeba było dobrze się nachodzić i podlizywać i to nie zawsze skutecznie. W najśmielszych marzeniach nie można było przypuszczać, że dzisiaj prawie każdy, nawet małe dzieci, dysponował będzie telefonem i że rozmowy będą takie tanie ! W połowie lat 90tych ukazały się w Polsce pierwsze laptopy. Były horrendalnie drogie. Dzisiaj laptopy o znacznie lepszych parametrach można kupić za 1/3 ówczesnej ceny !Laptopem dysponuje dzisiaj każdy „szanujący się” idący z postępem obywatel ! A internet ?! A GPS’y i inne zminiaturyzowane urządzenia?!

Już nie mówiąc o telewizji. Jeszcze w roku 1970, gdy w Polsce zaczęła występować telewizja kolorowa, można było korzystać „aż” z dwóch programów. Telewizor kolorowy kosztował ok.10 średnich pensji miesięcznych i trzeba było mieć dobre „chody” i odwdzięczać się, żeby telewizor kolorowy w ogóle kupić ! Dzisiaj cena takiego telewizora to mniej niż miesięczna pensja. W roku 1970



w Nowym Jorku odbierałem w hotelu 12 programów. Wydawało się, że to szczyt możliwości. W połowie lat 70tych na Zachodzie zaczęto wprowadzać telewizję satelitarną i kablową i ludzie dysponowali już dziesiątkami programów. W Polsce władze niechętnie były telewizji satelitarnej, bo odbierała ona polskim państwowym mediom wyłączność na przekaz informacji. Tylko nieliczni montowali „talerze” i to w sposób dyskretny, nie rzucający się w oczy, żeby nie „podpaść”. Telewizja satelitarna „rozdmuchała” się w Polsce dopiero w latach 90-tych, a z nią telewizja kablowa – przynajmniej z 20-letnim opóźnieniem w stosunku do USA i Kanady !

Żyjemy w czasach prawdziwej rewolucji telekomunikacyjnej i oraz bardziej dotrzynamy kroku Zachodowi. Frapuje mnie, co też przyniosą najbliższe lata, zanim „zejdę”. Jednocześnie zaczynam się wręcz martwić, co czeka moje dzieci i – nie daj Boże – wnuki. Prognozy dotyczące rozwoju sytuacji na naszej planecie w wyniku wzrastającego ocieplenia są przerażające. W dodatku jakoś się pomija czekające Ziemię problemy demograficzne: wzrost populacji w Chinach przy jednoczesnym gwałtownym rozwoju tego państwa, a więc też jego znaczenia i aspiracji, problemy Afryki, Ameryki Południowej....Kto wie, jak to wszystko się skończy dla Europy. Ale co tam się martwić na zapas ! Mnie wtedy już nie będzie, a następne pokolenia będą musiały sobie jakoś poradzić.

## **Lipsk**

W Lipsku byłem czterokrotnie: dwukrotnie z ramienia POLEXPO na targach jesiennych, i dwukrotnie z ramienia Ambasady Kanady na targach wiosennych.

Miasto znam doskonale i lubię je. Oczywiście odbudowane po strasznych zniszczeniach wojennych. Ciekawostka: Polacy raczej nie zdają sobie sprawy z tego, że w roku 1945 Lipsk zdobyty został przez wojska amerykańskie, a nie radzieckie !Wkrótce jednak na mocy Umowy Jałtańskiej wojska alianckie wycofały się za wcześniej ustalone granice i tak Rosjanie wycofali się z połowy Berlina i wpuścili tam wojska amerykańskie, angielskie i francuskie, zaś Amerykanie wycofali się z Lipska za Łabę, a z nimi uciekli na zachód liczne rzesze Niemców, którzy bali się Rosjan, jak jakichś potworów z innej planety. I chyba mieli swoje powody! W każdym razie, gdy po raz pierwszy byłem w Lipsku we wrześniu 1973 r. przypatrywałem się tamtejszej młodzieży w wieku na oko ok.30 lat i tak sobie myślałem: ciekawe, czy płynie w tobie rosyjska krew ? Przykro mi to wspominać, ale faktycznie nachodziły mnie wtedy takie myśli.

W czasie pobytu tam w 1973 r. byłem tzw. Dyrektorem Polskiej Ekspozycji w Domach Towarowych. Tu trzeba wyjaśnić, że MT Lipsk odbywały się dwa razy w roku: wiosną i jesienią i to na dużym terenie targowym (Messegelände) na obrzeżu miasta, bardzo blisko słynnego pomnika Bitwy Narodów (z Napoleonem, w której nad Elsterą zginął nasz gen.Józef Poniatowski) i niedaleko ślicznej cerkwi rosyjskiej (?)wybudowanej też chyba w jakimś związku z tą bitwą, oraz tradycyjnie już w odpowiednio przystosowanych budynkach (Messehäuser) tzw. Domach Towarowych – w różnych punktach miasta. Targi wiosenne miały mieć charakter bardziej przemysłowy, jesienne zaś – konsumpcyjny, ale prawdę mówiąc nie widziałem różnicy w charakterze tych targów.

Jako dyrektor polskiej ekspozycji mieszkałem w hotelu na przeciw dworca, a więc w sercu miasta. W późniejszych latach mieszkałem w kwaterach prywatnych, co wówczas było pewną tradycją i załatwiała okresowy napływ ogromnej masy ludzi z całego świata. Mieszkanie na kwaterze prywatnej miało tę zaletę, że miałem kontakt z przeciętnymi Niemcami – NRD-owcami i mogłem sobie z nimi swobodnie rozmawiać! W 1974 r mieszkałem u rodziny niemieckiej, w której pani była w czasie wojny w Warszawie w jakiejś kobiecej służbie pomocniczej. Porozmawialiśmy sobie „po duszom”, oglądałem jej zdjęcia z tamtych czasów m.in. w tzw. rikszy rowerowej, które w czasie wojny kursowały w W-wie. Miała szczęście, że opuściła W-wę przed powstaniem, a w ogóle to bardzo przyjemnie wspominała swój tam pobyt. I czy taka miła kobieta mogłaby zrobić jakiemuś Polakowi krzywdę ? Innym razem, w roku 1980 odwiedziłem w kwaterze prywatnej mojego kolegę, Kanadyjczyka.

Mieszkał u starszych ludzi, których jedynym marzeniem było pójście na emeryturę, bo wtedy mogliby bezproblemowo wyjechać z NRD do RFN.NRD chętnie pozbywało się swoich emerytów. Gdy nie wracali – tracili prawo do emerytury. Czysty interes !Utrzymanie starszków spadało na RFN.

Wspomniani już starsi Niemcy intensywnie przygotowywali się do wyjazdu z NRD. M.in oglądałem ich wspaniałą kolekcję znaczków, która w owych czasach miała znaczna wartość. Zbierali też obrazy i

grafiki. Jedną z ich grafik - wnętrze domku tyrolskiego – nawet za 40 marek NRD-owskich (co było zupełnie godziwą kwotą) od nich kupiłem.

W roku 1974 byłem tzw. dyrektorem całokształtu polskiej ekspozycji, tak na terenach targowych, jak i w domach towarowych. Wiodłem dzięki temu dosyć aktywne życie towarzyskie: brałem udział w licznych przyjęciach, w oficjalnych uroczystościach w mieście, np. w wielkim koncercie w Teatrze z okazji otwarcia targów itp. Wieczory spędzałem przyjemnie także prywatnie, np. na dancingu w restauracji na szczycie wówczas jedynej w Lipsku wieżowca, lub w restauracji Auerbachskeller, tuż koło rynku głównego. Restauracja ta znajduje się w piwnicach budynku i jest bardzo rozległa. Przede wszystkim bardzo „niemiecka”. Zdobia ją freski w łukach ścian bocznych przedstawiające różne sceny z „Fausta” Goethego. Do restauracji przylega kawiarnia. Gdy byłem w Lipsku w marcu roku 1979, gdzie na terenie targowym Kanada miała swoje stoisko, które obsługiwałem wraz z sekretarzem Ambasady Kanady, p.Hansem – Joachimem Himmelsbachem – z urodzenia Niemcem, zaprowadziłem go i jego żonę, Ilknur – Turczynkę (!) do Auerbachskeller. Restauracja była pełna gości, ale znalazł się wolny stolik w kawiarni. Na klasycznych instrumentach grał zespół starszych panów. Gdy już poczuliśmy się tam swobodnie, Hans za moim pośrednictwem zaproponował muzykom, de facto ich szefowi – skrzypkowi, aby zagrali coś takiego „volkstümliches” (na swojską nutę). Zachęcił ich do tego odpowiednim banknotem i....zaczęło się: zespół grał najbardziej znane niemieckie melodie, ja z Hansem zaczęliśmy je nucić, dołączyli do nas inni i wkrótce cała sala śpiewała !Tak śpiewała, że gdy nadszedł czas zamknięcia kawiarni, nikt nie chciał odchodzić. Zamknięto więc kawiarnię od zewnątrz, a kawiarnia nadal śpiewała: od ogólnie znanych pieśni śpiewanych przy winie np. „Gdyby wody Renu zamieniły się w wino, ach jak chciałbym być wówczas rybką. Mógłbym złapać do syta za darmo, bo beczka Renu nigdy nie się nie opróżni.....”, czy „Pij, pij, pij bratku pij, kłopoty zostaw w domu...” po coraz bardziej „odważne”, piosenki wojskowe typu „Heili, Heilum, Heila itd. Zresztą repertuar ustalali już muzycy.

Ach jak ci nieszczęśni NRD-owcy odżyli ! I komu to zawdzięczali ? Polakowi i Niemcowi !

### **Drezno**

Dzięki temu, że w roku 1979 i 1980 do Lipska jeździliśmy z ramienia Ambasady Kanady samochodem, mieliśmy pewną swobodę w doborze trasy. W marcu 1979 r. jechaliśmy na MT Lipsk z Hansem-Joachimem Himmelsbachem i jego żoną, Ilknur przez Drezno. Na zwiedzanie miasta niewiele mieliśmy czasu, ale być w Dreźnie i nie zwiedzić Zwingera (zamku królewskiego naszych wspólnych z Saksonią królów) było nie do pomyślenia ! Miasto, przez które przejeżdżaliśmy, robiło zresztą wrażenie zaniedbanego, katedra była jeszcze nieodbudowana i wiele było pustych placów po ruinach spalonych w słynnym nalocie alianckim domów.

W ogóle to odbudowa następowała w NRD na innych zasadach niż w Polsce i RFN. Wiele starych obiektów (choć to nie reguła) zastąpiono nowym „socjalistycznym” budownictwem. Odbudowywano bardzo powoli. Wydaje się, że NRD po prostu nie było stać na odbudowę z rozmachem. Brak środków przejawiał się także w fatalnym stanie dróg NRD-owskich, tak miejskich, jak i dojazdowych. Nasze polskie drogi, nawet uboczne, były w znacznie lepszym stanie. Przyczyną tego chyba było to, że państwo przypuszczalnie dopłacało do utrzymywania stosunkowo wysokiego (nieporównywalnie wyższego niż w Polsce) poziomu życia. Było prawie wszystko, co w RFN i to po relatywnie niższych cenach. Przypuszczam, że dopłacał do tego budżet państwa i stąd ta mizeria inwestycyjna. Pewne jest, że ten pozorny NRD-owski dobrobyt był nam, Polakom – delegatom i turystom – bardzo, bardzo na rękę. Wyjazdy służbowe czy turystyczne do NRD bardzo sobie chwaliliśmy i zawsze wracaliśmy obładowani różnymi deficytowymi w Polsce towarami. A NRD-owski budżet chyba do tego dopłacał !

### **Posłowie**

Niemcy – to nie tylko moje tam pobyty, ale także spotkania z Niemcami na różnych etapach mojego życia i w bardzo różnych okolicznościach.

O Niemcach z czasów wojny piszę we wspomnieniach pt. „Moje dziciństwo”. O niektórych kontaktach z Niemcami, czy z tym, co po nich pozostało, piszę we wspomnieniu „Niemcy-Polska” lub „Album”. Ale moje godne wspomnienia kontakty z Niemcami, prywatne czy służbowe, były bardzo liczne. W czasie studiów wymieniałem korespondencję z niemiecką komilitonką, Giselą Heinemann z Bad Berka

(NRD), z Horstem- Martinem Dziobaka z ,którego poznałem na targach poznańskich, potem z Anitą Kowalski z Berlina Wsch., którą po studiach poznałem w Zakopanem. Miałem liczne długotrwałe kontakty biznesowe z Niemcami, które mile wspominam: z sympatycznym młodym małżeństwem (nazwiska już nie pamiętam) z f-my BISCHOFF FILM z Monachium, która to firma sprowadzała do RFN polskie filmy, z moim NRD-owskim odpowiednikiem na targach zagranicznych, czyli z Dyrektorem ekspozycji NRD-owskich na szeregu targów (np. w Damaszku, Bagdadzie czy Kairze), p.Herbertem Laube z Berlina i z nobliwą panią Charlotte Salm i wielu wielu innymi. Być może pamięć eliminuje przykre wrażenia, ale z moich kontaktów z Niemcami, z którymi osobiście się stykałem, pozostały mi w pamięci tylko miłe wrażenia !



Gisela Heinemann z Bad Berka, NRD



Gena Pohl z NRD, która uciekła do RFN (do Stuttgartu)



Anita Kowalski z Berlina



Horst-Martin Dziobaka

---

---